Jan Kloc

ps. "Cichy"

MOJE WSPOMNIENIA Z II WOJNY ŚWIATOWEJ



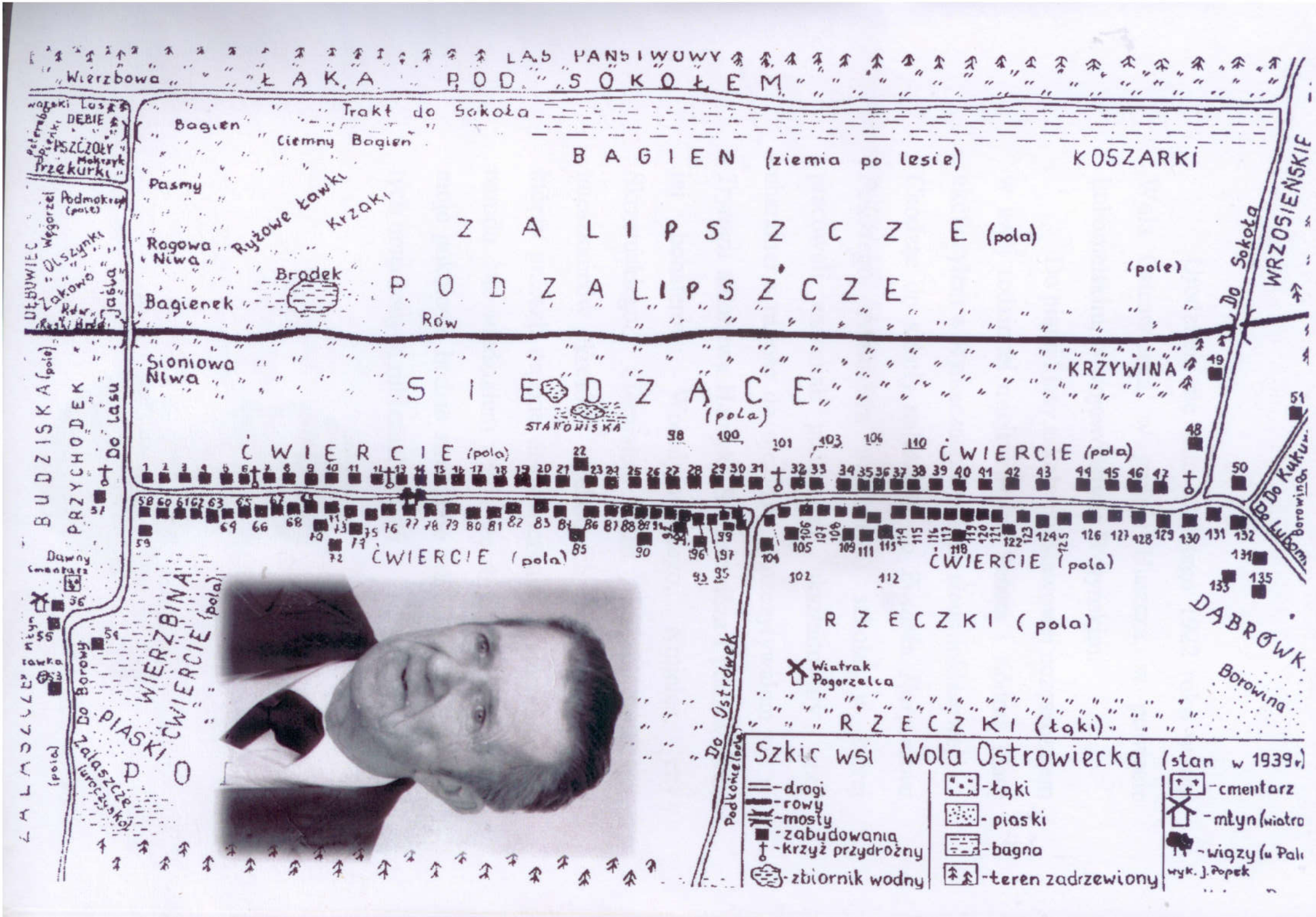
Jan Kloc

ps. „Cichy”

MOJE WSPOMNIENIA Z II WOJNY ŚWIATOWEJ



Opracowali: Kloc Jan, Kloc Przemysław, Kloc Anna


LAS PAŃSTWOWY
ŁĄKA POD SOKOŁEM
Wierzbowa
Trakt do Sokoła
Bagien
Ciemny Bagien
BAGIEN (ziemia po lesie)
KOSZARKI
DĘBIE
PSZCZOŁY
Przekurki
Pasmy
Podmokły (pole)
Ryżowe Ławki
Krzaki
ZALIPSZCZE (pola)
Rogowa Niwa
Bródek
PODZALIPSZCZE
(pole)
Do Sokoła
WRZOSIEŃSKIE
Bagienek
Rów
Sioniowa Niwa
SIEDZIACE (pola)
KRZYWINA
STANOWISKA
ĆWIERCIE (pola)
BUDZISKA (pole)
PRZYCHODEK
Do Lasu
Dawny Cmentarz
WIERZBINA
PIASKI
Do Borowy
Do Ostrówek
RZECZKI (pola)
Wiatrak Pogorzelca
RZECZKI (łąki)
Borowina
DĄBRÓWKI
Szkic wsi Wola Ostrowiecka (stan w 1939 r.)
-drogi
-rowy
-mosty
-zabudowania
-krzyż przydrożny
-zbiornik wodny
-łąki
-piaski
-bagna
-teren zadrzewiony
-cmentarz
-młyn (wiatro
-wiązy (u Pali
wyk. J. Popek

Urodziłem się dnia 12 lutego 1922 roku w wsi Wola Ostrowiecka, w gminie Huszcza, w powiecie Lubomelskim, w województwie Wołyńskim.

Do piątej klasy szkoły podstawowej uczęszczałem w swej rodzinnej miejscowości. Szóstą i siódmą klasę ukończyłem w Rymaczach w szkole siedmioklasowej. Chodząc do szkoły należałem do *Związku Harcerstwa Polskiego*. Atmosfera rodzinna i szkoła, w której pracowali wspaniali pedagodzy, ukształtowały mój charakter i miłość do ojczyzny. Rozczytywałem się w *Trylogii* autorstwa Henryka Sienkiewicza i podziwiałem jej bohaterów: Wołodyjowskiego, Kmicica, czy Skrzetuskiego. Cierpiałem nad losem Polaków, mieszkańców kresów wschodnich Rzeczypospolitej, którzy przeszli ciężkie doświadczenia dziejów naszego narodu. Nie wiedziałem wtedy, że zbliża się dzień gdy i moje pokolenie będzie zmuszone oddać daninę krwi na tych umęczonych rubieżach Polski.



Po ukończeniu edukacji w szkole powszechnej pomagałem moim schorowanym rodzicom w pracy w gospodarstwie rolnym. Wówczas też należałem do *Związku Strzeleckiego* oraz, w czasie przed samą wojną, do *Obrony Narodowej*, aż nadszedł ten fatalny dzień 1939 roku. Wojna.



Szkoła Podstawowa w Rymaczach - Klasa VII

My, młodzi, byliśmy pełni nadziei, że armia polska poradzi sobie z wrogiem, który tak zdradziecko napadł na nasz kraj. Nie dawaliśmy wiary by kraj tak cywilizowany mógł wbrew postanowieniom paktu o nieagresji napaść na naszą Ojczyznę, która mimo

trudności i niesnasek, rozwijała się jednak wspaniale. Widziałem to na przykładzie mojej rodzinnej wsi. Nasza wieś była cała Polska - pochodziliśmy z Mazowsza – i, jak zanotowały kroniki kościelne, istniała tam od stu lat. We wsi działało Kółko Rolnicze, którego działalność polegała na uświadamianiu rolników w uprawie i nawożeniu gleby , zakładano poletka doświadczalne upraw , oraz założono sklep spółdzielczy . *Koło Gospodyń Wiejskich* prowadziło kursy gotowania i pieczenia oraz urządzało imprezy rozrywkowe. Wybudowano także *Dom Ludowy*, gdzie ogniskowało się życie kulturalne całej wsi.

Obok *Domu Ludowego* było boisko sportowe do gry w siatkówkę, oraz strzelnica strzelecka. Przed wojną przeprowadzono melioracje i komasację wsi i według mnie, zwykłego, skromnego człowieka, znaczyło wiele i było to bardzo dużo, jak na tak młode państwo, które odradzało się po stuletniej niewoli.



Moja rodzina z Woli Ostrowiedzkiej

Od lewej: Ja-Jan, ojciec Łukasz, siostra Marianna i matka Karolina

Teraz chciałbym powrócić pamięcią do okresu wojny. Nasz oddział Obrony Narodowej został wysłany do obrony mostu w Dorohusku, nad Bugiem. Gdy most został zbombardowany i zbliżali się Niemcy zostaliśmy wycofani na Wołyń i tu widząc beznadziejność sytuacji rozeszliśmy się do domów. Na nasze tereny wkroczyła armia radziecka, a ponieważ wieś stanowiła teren pograniczny, prawie stale gościliśmy żołnierzy *Armii Czerwonej*. Po jakimś czasie wrócił z wojny mój szwagier, który służył w *21 Pułku Ułanów* w Równem.

Było nas dwóch mężczyzn w domu. Z nakazu władz radzieckich, tam gdzie było dwóch mężczyzn w jakiejś rodzinie jeden musiał iść do pracy w lesie, więc poszedłem ja. Wycinaliśmy drzewa. Piękny las, rozciągający się w kierunku Lubomla, las mieszany: buki, dęby i sosny. W tym czasie wstąpiłem do organizacji przysposabiającej młodzież do służby wojskowej pod nazwą Osowjąchinia. Pamiętam pewien zabawny epilog, gdy przyjechał „ruski starszyna" i chciał sprawdzić jak my jesteśmy wyszkoleni. Nakazał nam „Kolejno, odlicz" i naszym chłopcom pokręciło się, gdyż nie wiedzieli jak liczy się po rosyjsku „1,2,3,4..." i

dopiero jak zezwolił na odliczanie po polsku, to zagrało wszystko pierwszorzędnie.

W roku 1940 z rozkazu władz radzieckich, musiałem iść do kopania rowów przeciwczołgowych na przedpolach Lubomla. Pracowałem tam około jednego miesiąca, aż nadszedł rok 1941. Niemcy napadają na Związek Radziecki, ja już od roku 1942 należę do podziemnej ZWZ (*Związek Walki Zbrojnej*). Przysięgę składałem przed naszym drużynowym Jengorzykiem Stanisławem. Byłem wychowankiem szkoły małoletnich (mowa o Oswoiąchinie) i już wówczas wiedziałem, że mamy kilka karabinów i raz nawet, po szkoleniu, kazano mi wziąć karabin do domu i schować. Ja spałem w stodole, bo to było lato, a karabin zagrzebałem w sianie pod głową.



Moja matka Karlina

Moja matka, nieboszczka, chciała mi poprawić posłanie i namacała karabin - już do śmierci swojej męczeńskiej nie miała spokoju, przekonana, że ja marnie zginę za przechowywanie broni, bo trzeba wiedzieć, że na terenach wschodnich bardzo trudno było zdobyć i mieć broń. Władze radziecki groziły więzieniami karnymi, gdy weszli Niemcy za posiadanie broni grozili karą śmierci, a policja ukraińska bardzo dużo ludzi z naszej wsi brała na przesłuchania w sprawie broni i dużo ludzi bito. Mimo tych szykan i represji działania organizacji rozwijały się pomyślnie – nikt nie kolaborował i nie było słychać by znalazł się w naszych szeregach jakiś sprzedawczyk.

Tymczasem nadszedł rok 1943. Już od wiosny były wiadomości, że Ukraińcy napadają na ludność polską i trzeba się bronić, więc organizacja przysposabiała się do obrony, wystawiała próbne posterunki, na które ja też chodziłem. Sprawdzano naszą odwagę i wytrzymałość. W lecie powiedziano nam, że jeżeli Ukraińcy napadną na nas to będziemy się bronić, lecz nie należy prowokować. Moim zdaniem to była błędna decyzja dowódców naszej organizacji, która

kosztowała bestialską śmierć ponad tysiąca pięciuset osób z naszej wsi i z sąsiednich wiosek, bo gdy nadeszła niedziela 30. sierpnia 1943 roku i wszyscy już wiedzieli, że coś się szykuje (nawet ksiądz na kazaniu powiedział, że będziemy się bronić i że nie opuści swoich owiec) dowództwo jednak nie wydało konkretnych rozkazów, tylko tyle, że gdy nas napadną to się bronić.

Tymczasem we wsi niektóre kobiety i dzieci udały się na kolonię (na obrzeża wsi), bo uważano, że najpierw zostanie napadnięta sama wieś, wtedy kobiety i dzieci będą miały czas żeby uciec. Nas, kilku chłopaków, wysłano na stanowisko obserwacyjne znajdujące się około jednego kilometra od wsi w kierunku wsi ukraińskiej Sokół. Leżeliśmy nad traktem, który prowadził do Sokoła całą noc, a noc była tak ciemna, że na wyciągnięcie ręki nic nie było widać. Całą noc było słychać stukoty furmanek, jakoby jechały na zachód.

Nad ranem wszystko ucichło, toteż gdy zaczęło świtać zeszliśmy z zajmowanego posterunku zostawiając jednak dwóch na warcie. Gdy przyszliśmy do wsi i powiedzieliśmy gdzie ucichł turkot wozów, to mówiono, że może pojechali za Bug, napaść na most, czy temu podobne. Podczas tych rozmów przybył jeden z

chłopców pozostawionych na warcie i powiedział, że widzieli mnóstwo ludzi zmierzających do wsi. Znów nas, kilku chłopaków, drużynowy wysłał, żebyśmy sprawdzili kto idzie. Gdyśmy wybiegli za wioskę zobaczyliśmy tłum ludzi, którzy na nasz widok przykucnęli, by się ukryć, bo było jeszcze szaro. My przykucnęliśmy także. Oni czaili się na nas, a my byliśmy bez broni, musieliśmy uciekać. Moim zdaniem wtenczas należało otworzyć ogień z karabinów, których było we wsi kilka, ale dowództwo nie dało nam ich, lecz ludziom bardziej doświadczonym, którzy przeszli kampanię wrześniową. Gdyśmy wpadli do wsi i zameldowaliśmy, że zbliżają się Ukraińcy, wysłano mnie na przeciwny koniec wioski do byłego komendanta Strzelców – Paszczyka – z meldunkiem o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Jeszcze nie dobiegłem do połowy wsi , gdy zrobiło się czarno od Ukraińców. Szli po jednej i po drugiej stronie drogi gęsiego, środkiem jechała kuchnia polowa i jeźdźcy na koniach. Mnie zatrzymano i pytano kto ja jestem, ja odpowiedziałem, że byłem na warcie, oni – „Kakaja warta?" - ja na to: - „Wioskowa".

Prowadzili mnie jakieś sto metrów i jakiś starszyna-mężczyzna podjechał na koniu, coś pogadali i mówi do

mnie: - „Idź damoj (do domu), tylko nie chodź po drodze". Poszedłem prosto do domu, bo był niedaleko. Dom był zamknięty, bo matka z siostrą i jeszcze dwójką dzieci poszły nocować na kolonię. Szwagier zawieruszył się gdzieś w organizacji. Ja wiedziałem jednak, że coś jest nie tak, pomimo tego, że Ukraińcy nikogo nie bili, tylko każdego napotkanego wysyłają do domu, by nie chodził po drodze. Wszedłem za budynki gospodarcze, by się przedostać na kolonię, gdzie udała się moja rodzina.



Moje gospodarstwo w Woli Ostrowiedzkiej

Wtedy zobaczyłem, że cała wieś jest otoczona, oprawcy kucali jeden obok drugiego w odległości co 10 metrów. Przykucnięte postacie wyglądały złowrogo – wtedy zrozumiałem, że jest źle. Pierwszy odruch był taki, żeby schować się gdzieś, i tak wszedłem do stodoły, podparłem wrotnie kołkiem i zagrzebałem się w zwiezionym życie. Pomyślałem jednak, że podpalą stodołę, bo będą myśleć, że może się tam ktoś ukrywać, i mogą szukać wszędzie. Dobrze zrozumiałem, gdyż jak potem stwierdziłem właśnie tam mnie szukano. Wtedy jeszcze wszedłem na tak zwane „wyżki", skryłem się i tam zasnąłem, gdyż nie spałem całą noc. Nie wiem jak długo spałem. Obudziłem się gdy wyganiano krowy i konie z naszej obory, bito je kołkami tak, że tylko łoskot od tego było słychać. Wtedy jeden Ukrainiec podszedł do wejścia na „wyżki" i krzyknął: „Złaź sobaczy synu, bo wlizu tu i tak ubiju jak sobaku". Ja chwyciłem jakiś drąg i postanowiłem, że jak mój oprawca będzie wchodził, to rozwalę mu tym drągiem głowę, lecz on po tym krzyku nie wchodził i wszystko ucichło. Po jakimś czasie usłyszałem jakiś dziwny szum oraz hałasy. Powoli odgarnąłem słomiane poszycie dachu i zobaczyłem całą końcową część zabudowań wioski w ogniu. Ogień zbliżał

się już do naszych budynków. W tym czasie usłyszałem gęstą palbę karabinów i odsłoniłem część poszycia z innej strony, to jest od strony Ostrówek, a tam zobaczyłem, że sąsiednia wieś też płonie i stamtąd wycofują się tyraljerą Ukraińcy. Wycofują się, więc z Ostrówek ktoś ich wyparł, ale kto? Oprawcy doszli do naszych budynków i zza zabudowań strzelali w kierunku Ostrówek.

Wówczas westchnąłem do Boga i pomyślałem, że przyszła moja ostatnia godzina. Gdyby zapaliły się teraz nasze budynki musiałbym wyskoczyć z płomieni, a tam na dole pełno Ukraińców. Pan Bóg jednak pokierował inaczej, wiatr zmienił kierunek i budynki ocalały mimo, że od pożaru było nie dalej niż piętnaście metrów.

Po jakimś czasie wszystko ucichło. Nastała taka cisza, że nie było słychać żadnego ludzkiego głosu, tylko trzask dopalających się domostw. W tej ciszy przesiedziałem jeszcze godzinę i powoli zszedłem z „wyżek" zobaczyć co i jak. Wówczas spotkałem biegnącego, wystraszonego chłopaka z naszej wsi. On krzyczał: „Uciekajmy!" i zaczęliśmy biec w kierunku Ostrówek. Dalej na polu natknęliśmy się na znajomego chłopca, który widocznie próbował uciekać i leżał tam

zabity. My pobiegliśmy do Ostrówek. Wpadliśmy do wioski, nikogo nie spotkaliśmy. Tknięci złym przeczuciem przebiegliśmy całą wieś – nigdzie żywej duszy, tylko pootwierane drzwi i w niektórych domach wybite szyby, klika budynków się dopalało. Gnani strachem skierowaliśmy się na kolonię Piotrówkę, i tu dopiero napotkaliśmy kilka osób, niedobitków, którzy cudem ocaleli z tego pogromu. Wszyscy zbryzgani krwią, a udało im się przeżyć tylko dlatego, że myślano, że to trupy.

Pierwszą noc po tym strasznym dniu spędziłem w szkole w Rymaczach, gdzie zgrupowały się wszystkie osoby ocalałe ze wsi Wola Ostrowiecka, Ostrówki, Piotrówki. Ubezpieczenie zrobili Niemcy, okopali naokoło szkołę i nas pilnowali. W nocy rozmawialiśmy i chodziły słuchy, że nazajutrz Niemcy wywiozą nas do Lubomla i potem transportem w głąb Niemiec na roboty przymusowe. Mówiono, że w Jagodzinie powstała samoobrona pod dowództwem nauczyciela z Jagodzina, porucznika Filipowicza Kazimierza. Ja skoro świt wymknąłem się ze szkoły i już 1. września zgłosiłem się do porucznika Filipowicza. Przyjęto mnie, lecz byłem bez broni. Po kilku dniach dowiedziałem się od pewnego

chłopaka z naszej wsi, że wie gdzie schowane są karabiny, które miały służyć do obrony naszej wioski. Otóż chłopaki z bronią z naszej wsi byli zgrupowani razem i gdy Ukraińcy weszli nikogo nie bijąc, oni nie wiedzieli gdzie się mają ruszyć, wszędzie pełno Ukraińców. Nie strzelali, bo nie było rozkazu, bo też nikt nas nie bił i broń schowali i sami się rozeszli, by każdy sam pomścił śmierć swoich bliskich. Tak więc broń z naszej wsi weszła w ręce chłopaków ocalałych z pogromu, w tym i mnie. Dostałem karabin dziesięciostrzałowy, ruski, z magazynkiem, który po oddaniu strzału sam wprowadzał następny nabój. Miał dorabianą kolbę i służył mi przez cały okres mojej partyzanckiej doli.

Początkowo oddział nasz był słaby, liczył około czterdziestu chłopaków z różną bronią, nawet z obrzymkami, i mieliśmy jeden „erkaem" ruski, „Ditkarowa". Pilnowaliśmy na przedpolach Jagodzina, by nikt się nie zbliżał, oraz robiliśmy wypady do naszych wsi: Woli Ostrowieckiej i do Ostrówek, celem przepłoszenia stacjonujących Ukraińców, rabujących dobytek, który nie spłonął. Wówczas dowiedzieliśmy się od ocalałych niedobitków, jakiego podstępu użyli

Ukraińcy, niby powstańcy, by wymordować bezbronną ludność polską, spokojną, nikomu nic nie winną. Otóż jak weszli do wsi w sile może tysiąca ludzi nikogo nie bili , tylko wysyłali do domów i uspakajali. Dokładnie otoczyli wieś i gdy już dzień się zrobił, zaczęli zwoływać na zebranie do szkoły, gdzie „komandir" miał coś wygłosić, po czym będzie można wrócić do domów. Szkoła była drewniana i tam wpędzano kobiety i dzieci, które jeszcze były we wsi. Mężczyzn otoczono na placu szkolnym i początkowo brano po czterech, potem nawet po dziesięciu, na badanie do komendatury. Prowadzili ich pod silną eskortą do dość dużego gospodarstwa Strażyca, gdzie za stodołą mieli już pokopane doły. Wprowadzali ich wąskimi drzwiami na klepisko, gdzie stało kilkunastu rezunów z siekierami i ci rąbali, zabijali, a ciała od razu wrzucano do rowów. Ostatni z mężczyzn, gdy szedł na śmierć nie wiedział o tym, bo i strzałów nie było i nikt nie przypuszczał, że tak człowiek człowieka może zabijać, niewinnego niespodziewającego się niczego. Z tej masakry ocalał tylko jeden człowiek, ale już nie żyje. Mamy tylko jego wypowiedź nagraną na taśmę. Dla potomnych.

Gdy wybito mężczyzn, podpalono szkołę i rzucano granaty do środka. Kto mógł, wyskakiwał przez okna, w które jednak Ukraińcy strzelali z karabinów maszynowych. Widzieliśmy w szkole zwały zwęglonych trupów kobiet i dzieci oraz wieniec z trupów naokoło budynku. Widok był straszny, na którego wspomnienie łzy mi się toczą. Po tym masowym mordzie przetrząsano każdą chatę i kogo znaleziono, był bity do nieprzytomności i topiony w studni. Studnie były pełne trupów, widziałem.

Na Ostrówkach wybito mężczyzn z broni palnej, byłem nad tymi dołami - leżeli poobejmowani w rowach, wypełnionych po brzegi i zwęgleni, gdyż po napełnieniu dołów, oblewano ich czymś i podpalono. Kobiety na Ostrówkach zamknięto w kościele. Ktoś z uciekinierów dał znać Niemcom, wtedy, gdy Ukraińcy usłyszeli, że Niemcy niby jadą z pomocą, Ukraińcy wygnali te nieszczęsne kobiety i dzieci, i pod silnym kordonem gnali je aż pod wieś Sokół. Tam na polu kazali się kłaść rzędami. Jeden rząd wystrzelali, następne rzędy kolejno musiały się kłaść i ginęli, reszta musiała patrzeć i czekać na swoją kolej.

Tam zginęła moja matka i siostra z dzieckiem na ręce. Byłem tam po tygodniu, bo nie można było znaleźć długo tego miejsca mordu. Zobaczyłem tylko duży plac zalany krwią i usypane cztery duże mogiły. Zginęło tam około czterysta kobiet i dzieci.



Z prawej moja siostra Marianna Jesionczak z domu Kloc

Jak mogły zagrażać powstającemu państwu ukraińskiemu?! Jak może powstać niepodległe państwo ukraińskie, którego obywatele zaczynają swoją walkę o niepodległość rzezią niewinnych istot?!

Nasz oddział rósł w siłę, przybywało ludzi z Lubomla i okolic, z bronią i bez broni. Zgłosił się nauczyciel z Lubomla, Markiewicz Ryszard , oraz

nauczyciel z Ostrówek, który ocalał w czasie rzezi, Lisoń Jan. Przyjęliśmy pseudonimy. Mnie, ze względu na to, że po tej tragedii nie mogłem mówić, nadano pseudonim „Cichy".

Gdy było nas już z bronią około osiemdziesięciu ludzi podzielono nas na dwa plutony. Dowódcą pierwszego plutonu był plutonowy o pseudonimie „Pocisk", drugiego plutonowy, ps. „Pika". Wtedy przerzucono nas na drugą stronę Rymacz, celem obrony wioski Rymacze. Zakwaterowaliśmy się w kilku stodołach z opuszczonych zagród. Nie było lekko. Stale służba patrolowa i na „czujkach". Dnie i noce coraz chłodniejsze a my mieliśmy tylko to, co na sobie i nigdy się nie rozbieraliśmy, będąc stale w gotowości bojowej. Najgorsze były noce. Chcąc dobrze ubezpieczać wystawiano tyle posterunków, że połowa ludzi była na warcie, połowa odpoczywała. Nie zdążyłeś się jeszcze rozgrzać i znowu na dwie godziny na wartę. Lecz na to nie szemraliśmy, bo wiedzieliśmy, że w takim ubezpieczeniu cała nadzieja naszego ocalenia. I pamiętam jednaj nocy, nad ranem, nasz wartownik

spostrzegł posuwającą się kolumnę. Może się na nas szykowali, pomyślał i oddał strzał.

Wówczas Ukraińcy zaczęli uderzać w kierunku naszych kwater, to jest w kierunku stodoły. Pewnie wiedzieli, że my tam kwaterujemy i chcieli nas zaskoczyć, lecz to im się nie udało – zerwaliśmy się jak kto spał i na nich. Odparliśmy ich zabijając kilku. Nie tylko się broniliśmy, ale częściowo zaczęliśmy zadawać rany, zadane najpierw nam.

Już 9. września 1943 roku porucznik Kazimierz Filipowicz ps„Kord" powiedział nam: „Chłopcy, choć jest nas garstka, to chociaż częściowo pomściliśmy wymordowanych naszych najbliższych, którzy zginęli z rąk tych zbirów ukraińskich, spod znaku *trójzuba*". Poszliśmy nocą i nad ranem spotkaliśmy rozłożoną, czekającą na nas tyralierię Ukraińców. Porucznik „Kord" krzyknął: „W imię Boże!" i parliśmy jak burza, nie czując, że kule gwizdały koło nas jak osy. Mimo ich kilkukrotnej przewagi, rozbiliśmy tych rekinów w proch i zdobyliśmy dużo broni, jeden granatnik oraz tabory. Ukraińców zginęło kilkunastu, od nas nikt nie był ani draśnięty. Po zwycięstwie jakie pierwsze było naszym udziałem, przeszliśmy na miejsce postoju i tu por.

„Kord", po stwierdzeniu, że nie ponieśliśmy strat, ucałował się serdecznie z każdym z członków oddziału i powiedział, że chyba Bóg się nami opiekuje.

Po tym sukcesie zaczęli napływać do nas nowi ludzie, którym już mogliśmy dać broń zdobytą na tych bandytach z oddziału niby majora „Wrona". Oddział nasz się więc powiększył do stu sześćdziesięciu ludzi. Taki oddział to już się liczył , i ppor. „Mohort", „Cień", oraz plutonowi „Pocisk" i „Pika" wzięli się do szkolenia oddziału, oraz pilnowania polskich wiosek, z których dostawaliśmy żywność.

Odpowiednio już przeszkoleni żołnierze, w dniu 15. stycznia 1944 roku napadli we wsi Rakowiec na kolumne samochodów niemieckich i policji ukraińskiej. Zniszczono pięć samochodów, oraz zabito kilkunastu Niemców i Ukraińców na polu walki. U nas też były ofiary: czterech zabitych i kilku rannych. Zostaliśmy w tej wsi, by przetrzymać najgorsze mrozy. Ludności miejscowej tam już nie było, bo uciekła przed zagrożeniem ukraińskim.

W Rakowcu dowiedzieliśmy się, że koło Dubienki przeprawiła się przez Bug pomoc z Warszawy. Był to oddział nazwany później Kompania Warszawska.

Potem przenieśliśmy się do Zamłynia i tu w czasie odprawianej mszy świętej dowiedzieliśmy się, że została utworzona Dywizja Partyzancka.

Już jako batalion dywizji, bo liczyliśmy już około pięćset żołnierzy, w małym składzie w dniu 28. lutego 1944 roku rozbiliśmy we wsi Przekurka zgrupowanie upowskie i tu zginął jeden chłopak w niemieckim mundurze, który zdjął z zabitego Niemca i potem Ukraińcy się chełpili, że zabili od Lachów dowódcę. Ja też nie miałem się czym poszczycić, gdyż w silnym zdenerwowaniu, uciekł mi, prawie spod lufy, ukrainiec z karabinem w krzaki- odstrzeliwując się. Może to był jeden z tych morderców mojej rodziny. Niedługo potem, daty nie pamiętam, nasz cały batalion we współpracy z batalionem porucznika „Sokoła" napadł na wsie ukraińskie Sokół i Pułapy, i mimo obrony tych *rezumów*, zniszczyliśmy je. Z tych wiosek wyszli na mord na nasze wioski i dowiedziałem się, że w miejscowej cerkwi pop ich błogosławił na walkę z bezbronnymi Lachami.

W dniu 19 marca 1944 roku znowu wspólnie z batalionem „Sokóła" rozbiliśmy silne zgrupowanie upowskie w Zapolu pod Lubomlem. W czasie walk w Zapolu , nad nami latał niemiecki samolot zwiadowczy.

Niemcom to było na rękę, że te dwie narodowości tak się biją i niszczą. Po zdobyciu wioski, gdy rozłożyli się nasi żołnierze by się czymś pożywić, dostaliśmy się pod silny ogień, który szedł od strony cmentarza oddalonego od nas może około jednego kilometra. W wyniku natarcia banderowcy uciekli do lasu i tyle ich widzieliśmy. Muszę bezstronnie powiedzie, że w czasie walk z Ukraińcami, mimo, że oni byli o niebo lepiej uzbrojeni w broń niemiecką , nie było przypadku by nasz batalion wyszedł pokonany lub się cofał. Ten fakt dodawał nam odwagi i animuszu, nawet mnie - w czasie walki z nimi nigdy się nie bałem, za co niedługo miałem zapłacić.

Otóż, dnia 2 kwietnia, w niedzielę palmową (dzień dla mnie pamiętny), batalion por. „Korda" stał w Zamłyniu, nasz pluton, któremu dowodził podporucznik Jan Lisoń„Cień" stał za wioską w chacie jako ubezpieczenie. Leżał jeszcze śnieg . Z posterunku przybiegł goniec i mówi, że niedaleko w zagajnikach, gdzie też były chaty, kręcą się jacyś ludzie. Trudno rozpoznać kto to, bo są w białych płaszczach. Podporucznik „Cień" wysyła naszą drużynę pod dowództwem, zdaje się, „Młota", byśmy zbadali kto to się tam kręci. Nasz drużynowy, przedwojenny zawodowy

kapral, każe nam się rozwinąć w tyralierę i naprzód. Poznaliśmy, że to Niemcy. Zaczęli do nas machać rękami, żeby nie strzelać. Nasz drużynowy krzyknął: „Ognia!" i wypaliliśmy do nich. Niemców było bardzo dużo, odskoczyli za budynki i padli, i jak nie zaczną do nas strzelać! Nic nie było słychać tylko świst kul. Ja z kolegą „Kowalskim" skoczyliśmy za jakąś stodołę i zza węgłów też odstrzeliwaliśmy Niemcom, którzy nie byli dalej od nas niż sto metrów. Oglądałem się gdzie moja drużyna i wtedy zobaczyłem, że nasze chłopaki są już daleko, więc mówię do „Kowalskiego": „Wiejmy, bo nas żywcem złapią". Pierwszy wybiegł zza stodoły „Kowalski" i padł nie przebiegłszy dziesięciu metrów. Ja gdy oderwałem się od stodoły słyszałem tylko jeden gwizd kul wokół głowy, lecz biegłem dalej i żadna kula mnie nie drasnęła.

Gdy dobiegłem do miejsca, gdzie stał nasz pluton, zobaczyłem ich jak się szykują do natarcia całym plutonem, i ja wraz z nimi. Zameldowałem ppor. „Cieniowi", że "Kowalski" padł i nie wiem czy żyje. W czasie natarcia podporucznik kazał mi wskazać miejsce gdzie padł „Kowalski". W tym czasie nasz pluton odparł Niemców i ja z podporucznikiem przystanąłem by

pokazać gdzie leży mój kolega. Stwierdziliśmy zgon i poderwaliśmy się by dogonić nasz pluton, który oddalił się już na jakieś dobre dwieście metrów. Gdy do nich dopadliśmy zobaczyliśmy, że nasza tyraliera zaległa na skraju lasu i strzela do przeciwnika, który zatrzymał się na przeciwnej stronie polany i strzela do nas. Gdyśmy dobiegli ppor. „Cień" padł za jakimś pniem, ja natomiast wyrwałem się pochylony na polankę z okrzykiem: „Hurrra!" i tak biegłem na Niemców. Nie dobiegłem dziesiątego metra, gdy poczułem okropne uderzenie, jakby mnie ktoś ostrzem siekiery rąbnął po lewym ramieniu. Zdążyłem pomyśleć: „Boże to już koniec", i dalej to już nic nie pamiętam.

Oprzytomniałem dopiero pod wieczór i wtenczas przyszedł do mnie ppor. „Mohort", który dał mi trochę bury, ale z uśmiechem, za to, że tak niepotrzebnie się wyrywam, oraz pochwałę, że poderwałem pluton do ataku. Potem przyszli koledzy uśmiechnięci, bo ten dzień był naprawdę szczęśliwy. Część naszego batalionu nabiła Niemców w Sztumiu i nasz pluton spisał się gracko, bo rozbiliśmy Niemców z "Gebirgsjägerbrigad", czyli doborowej jednostki *strzelców alpejskich*, która musiała uciekać przed polskimi bandytami.

Nie wiem jak długo leżałem w Zamłyniu, gdyż dużo czasu byłem nieprzytomny. Gdy przyszedłem trochę do siebie powiedziano mi, że odwiozą mnie do szpitala dywizjonowego w Mazyr. Położono mnie na wóz i pod ochroną zwiadu na koniach odwieziono do Mazyr. Po drodze przechodziłem katusze bólu, bo wóz po kamieniach bardzo się cały trząsł. Na prośbę naszego dowódcy, jak się potem dowiedziałem, umieszczony zostałem w chacie, w której byli sami ranni oficerowie . Przypominam sobie jak jeden miał urwaną rękę, i to, że jak na takie warunki opiekę miałem dobrą. Dlatego czuję wielką wdzięczność do dowództwa za dbałość o żołnierzy.

Po jakimś czasie leczenia dowiedzieliśmy się, że szpital będzie ewakuowany w głąb lasów, bo Niemcy się zbliżali. Ja już trochę mogłem chodzić i dowiedziałem się, że niedaleko stacjonuje batalion "Korda". Pomyślałem więc, że w tym kryzysowym czasie najlepiej być ze swoimi chłopcami. I tak, choć słaby, zawlokłem się do nich. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że pierścień niemieckiego okrążenia został zamknięty, i że będziemy się przebijać na północ. Na rozkaz dowództwa kazano likwidować tabory i tylko z bronią lekką

próbować się przedostawać. Ja jeszcze nie mogłem iść, więc taborzystów chorych i rannych przesadzono na konie i my mieliśmy iść na końcu kolumny.

Tam, w lasach mosurskich, pierwszy raz widziałem wszystkie oddziały 27. Dywizji jak ustawiały się na trakt w kolumny marszowe, szli i szli, że końca nie było widać i aż serce rosło – aż tyle ludzi poszło za głosem serca na poniewierkę i prawdopodobną śmierć.

Gdzieś około godziny 22 -ej kolumna ruszyła i posuwała się w kierunku Zamłynia wolno, bo w lesie były ciemności. Po jakimś czasie padł strzał z kierunku, w którym szliśmy. Potem rozpoczęła się gwałtowna strzelanina z broni maszynowej i kul oświetlających na skraju lasu, gdzie my znajdowaliśmy się na koniach. Powstało straszliwe zamieszanie, kwik rannych koni i krzyk chłopaków, a świetliki z kul leciały jak roje os i zdawało się, jakby wszystko leciało na ciebie. Zsunąłem się z konia i rzuciłem się w las. Tam spotkałem kilku taborzystów, którzy mówili, że już dalej nie przejdziemy. Zaszyliśmy się głębiej w las i tak przetrwaliśmy do następnego dnia. Na drugi dzień widzieliśmy dużo wałęsających się koni, które były z naszych taborów oraz z regularnej *Armii Czerwonej*, której oddział kawalerii

też z nami miał się przebić z okrążenia, lecz się nie przebiły, tylko się cofały w głąb lasów. Chciało nam się jeść , ale nic nikt nie miał, więc kilku zdrowych taborzystów poszło w las i gdzieś na skraju lasu znaleźli kopczysko po zebranych ziemniakach i tam jeszcze nawybierali trochę półzgniłych bulw i przynieśli. Rozpaliliśmy ognisko z suchego drewna i upiekliśmy te ziemniaki – smakowały znakomicie.

Gdy zbliżał się wieczór znów próbowaliśmy wyjść z tych lasów i przebić się do swoich, szliśmy i błądziliśmy dość długo, dopiero nad ranem doszliśmy na skraj lasów, w dodatku w dobrym miejscu, bo od strony Rymacz. Cóż zobaczyliśmy? Otóż tor kolejowy z Dorohuska do Lubomla oświetlony, reflektory tak silne błądzą bez przerwy, że jak je skierują na nas, to szpilkę można by znaleźć, a tu do torów z cztery kilometry. Nie ma rady, nie przejdziemy tej nocy – pomyśleliśmy. Zobaczyliśmy jakieś zabudowania pod lasem i tam się udaliśmy. Następował dzień. Zabudowania były opuszczone. Zaczęliśmy szukać czy nie ma czegoś do zjedzenia. Ja znalazłem na płycie parę kartofli już zeschniętych. Połknąłem je. Po naradzie postanowiliśmy zostać w tym zabudowaniu do wieczora i następnej nocy

znowu próbować przejść, nie marnować czasu na błądzeniu po lesie w nocy. Wleźliśmy na strych w obórce i zasnęliśmy.

Gdzieś około godziny 9ej jeden z nas, nie pamiętam kto, zbudził nas i od razu usłyszeliśmy głosy Niemców w zagrodzie. Nic nie mogliśmy zrobić , ściskając karabiny. Na podwórzu harmider niemiecki trwał. Po jakimś czasie otwierają się drzwi od obory, gdzie my siedzieliśmy na strychu i zaczęli wyganiać konie i tak to trwało cały dzień. My cały dzień siedzieliśmy naprężeni do ostatnich granic, niektórzy się modlili. Pod wieczór Niemcy zabrali konie – dla nich to miejsce niebezpieczne – wynoszą się. Byli to Niemcy, którzy zgarniali konie z rozbitej naszej kolumny, bo z końmi tam przejść nie było można.

Nocą znów próbowaliśmy przejść tor kolejowy, lecz był tak oświetlony, że jak coś zauważyli to tak bili z karabinów maszynowych, że było to niemożliwe. Cofnęliśmy się znowu w lasy mosurskie, siedzieliśmy cały dzień, a pod wieczór odszukała nas łączniczka od "Korda", znajoma dziewczyna z Piotrówki. Jak to zrobiła? Czy ktoś ją zawiadomił? Nie wiem tego do dziś. Dość, że powiedziała, że nas przeprowadzi, że zna takie

miejsce, to naprawdę nas przeprowadziła, koło Terebejki. Cichaczem przekroczyliśmy tor kolejowy, nikt do nas nie oddał ani jednego strzału. Łączniczka po przeprawie oddaliła się od nas a myśmy udali się na północ, za swoim oddziałem Dywizji.

I jeszcze jedno: wówczas dołączył do nas jeden chłopak, jak później się dowiedzieliśmy, był to kurier z Warszawy do naszej Dywizji. Potem doszliśmy do wsi ukraińskiej Przekurka – sąsiedniej wsi do mojej wymordowanej wioski. Tu chcieliśmy zjeść i zaczęliśmy szukać czegoś do zjedzenia. Ludność zaczęła się stawiać, i ktoś z naszych porachował kości jednemu z miejscowych. Oni tam byli pewni swego, bo niedaleko kwaterował oddział konny partyzancki radzieckiej i ci z Przekurki dali im znać, że Lachy ich biją. Natychmiast przyjechał oddział i pytają się co zaszło. My im mówimy, że to oni, po sąsiedzku, wymordowali nasze wioski. Wtenczas ich jakiś oficer mówi: "Bijcie ich, gadów", i jak ukraińcy to usłyszeli to zaraz zmiękli.

Ten ruski oddział nas zabrał i mówili nam, że nas odstawią do Dywizji. Zabrano nas na ich miejsce postoju i dano nam jeść. Dawno już tak dobrego jedzenia nie jadłem. Zaczął padać deszcz, więc swoim żołnierzom

kazali wyjść z takich małych podwójnych szałasów i nam każą się schować przed deszczem. Na drugi dzień dano nam przewodnika, który nas poprowadził na północ, na Słomary. Przeszliśmy lasem i wyszliśmy na tory kolejki wąskotorowej. Wówczas usłyszeliśmy kanonadę, jaka się po lesie rozchodziła – trwała formalna bitwa, w której brało udział dużo ludzi. My torem poruszamy się bardzo ostrożnie, by nie wpaść w łapy wrogom. Nagłe wszystko ucichło, idziemy dalej i widzimy, że na kolejce leży oddział w pogotowiu strzeleckim; podchodzimy bliżej. To nasi, od "Korda", mówią nam, że "Kord" stoczył bitwę z Węgrami.

I tak dostaliśmy się do swoich. Znowu razem. Wtenczas odczuwaliśmy dotkliwie rozpowszechnienie się wszy. Tyle ich było, że mimo, że kilka razy dziennie biliśmy je, nie dawało to rezultatu. Kto zemdlał to i po wierzchu płaszcza łaziły. No i dokuczał nam głód, bo w lasach szackich, w których się znajdowaliśmy, nadal bez naszej Dywizji, była za to partyzantka radziecka Bujanowa, więc do wyżywienia około dziesięć tysięcy ludzi, a tu wioski okoliczne obstawione przez Niemców. Czasem wysyłano patrole - czasem złapali zabłąkaną krowę lub konia i to zabijano i dzielono po kawałeczku.

Gotowaliśmy w menażkach, bo taborów już nie było, często bez soli, bo ta tylko była jeżeli któryś z żołnierzy przetrzymał w chlebaku. Ludzie z wycieńczenia zaczęli pachnieć trupim zapachem. Mój kolega z naszej wioski, "Komin", był chłop na schwał - żołnierz po kampanii wrześniowej - gdy leżał zwalony z nóg chorobą i gdy chciałem podać mu jedzenie, musiałem zbliżając się zatykać nos – nie mogłem wytrzymać. I takich już było dużo.

Nie wiedziałem jak się sprawa przedstawia, lecz słyszeliśmy, że dowództwo szuka dróg wyjścia. Kazano nam porobić nosze – duże drążki i płaszcze na nich rozpostarte – dla niesienia rannych i chorych i wieczorem miał być odmarsz. Szliśmy całą noc. Nad ranem, gdy mieliśmy wychodzić z lasu, jak się nie odezwie strzelanina z broni maszynowej, granatników! Taka obława, że musieliśmy sie cofnąć na dawne leże.

Za kilka dni zakomunikowało nam dowództwo: "Dzisiejszej nocy przebijemy się z drugiego okrążenia, bo pozostało już nam albo się przebić, albo zginąć". Chorych i rannych nieśliśmy na tych noszach i podeszliśmy do bagna. Wody po kolana, a miejscami wyżej. Gdy tyle ludzi weszło do wody był ogromny szum

wody. Ci, co nieśli rannych, musieli się zmieniać, gdyż w błocie samemu było ciężko iść, a co tu mówić o dźwiganiu kogoś. Dowództwo znalazło gdzieś jakiegoś przewodnika, ptaszka, który za złoto, jak chodziły słuchy, podjął się nas wyprowadzić. Szliśmy znów całą noc po tych topielach, wodą schlustani do suchej nitki.

Nad ranem, gdy już mieliśmy wychodzić na suchy grunt, jak znów nie zagrają karabiny maszynowe! Kulami oświetlającymi nad samą wodą! Widać Niemcy już dobrze sobie broń ustawili. Zrobiło się straszne zamieszanie. Położyć się nie było jak, bo wszędzie woda i bagno, a tu strzelają bez przerwy. Niektórzy rzucali rannych w wodę, bo nie było komu zmieniać noszących. Dopiero sytuację opanował porucznik "Sokół", który niedaleko był, złapał przewodnika i do nas krzyknął na cały głos, byśmy się trzymali za ręce, i że nie zginiemy. Potem gdzieś skręciliśmy i niedługo wydostaliśmy się w takie małe krzaczki i tu nam kazano legnąć, nic nie mówić i nie palić papierosów, bo Niemcy niedaleko.

Choć byliśmy tak przemoczeni, to jeszcze zaczął padać deszcz i mżył do południa. Pod wieczór zarządzono po cichu odmarsz. Gdy oddaliliśmy się kilka kilometrów zezwolono patrolom w czasie marszu

wyskoczyć po jakieś jedzenie. I tak patrole coś zawsze przyniosły, bo na Polesiu była już ludność białoruska, która nie była tak wrogo nastawiona do Polaków i nawet na drugi dzień, gdyśmy maszerowali tacy zmizerniali, spotkaliśmy grupę podchmielonych mężczyzn. Oni na nasz widok zanosili okrzyki: "Hoj, żywe polskie wojsko!". Pod wieczór zbliżyliśmy się do rzeki Bug, w okolicach Włodawy, i tu nam powiedziano, że będziemy się przeprawiać na Lubelszczyznę. Wieczorem przeszliśmy Bug.

Już na Lubelszczyźnie poprowadzono nasz każdy oddział na inną wieś, a gospodarzom polecono, by przyszykowali posiłki dla kilku ludzi każdy. Tam dopiero pierwszy raz najedliśmy się do syta i smacznie. Po posiłku odmaszerowaliśmy w kierunku Parczewa. Tutaj rozdzielono także oddziały po wioskach, by nie być tak wielkim ciężarem dla ludności. Nasz batalion pod dowództwem porucznika "Korda" rozkwaterował się we wsi Drozdówka. Tu ludność nie przyjęła nas tak serdecznie – kwaterowaliśmy po stodołach, w skupieniu. Posiłki za to przyrządzali poszczególni gospodarze – to dopiero wiedzieliśmy, że żyjemy! Ubranie nam zabrano i

wyparzono w piecach, by wygubić robactwo, co się jednak tak prędko nie udało.

Po jakimś czasie, gdy już trochę przyszliśmy do siebie, nasza drużyna dostała rozkaz wymarszu pod dowództwem podporucznika "Cienia", w kierunku Parczewa. Szliśmy w biały dzień przez wioski (których nazw nie pamiętam) ze śpiewem, bo już prezentowaliśmy się dobrze. Niektórzy ludzie płakali. Doszliśmy do wsi Laski, prawie przedmieście Parczewa, i tu przenocowaliśmy.

Na drugi dzień dostaliśmy zadanie od podporucznika "Cienia", że napadniemy na ochronę niemiecką wieży ciśnień, przy stacji kolejowej w Parczewie.

Była nas garstka, około dwudziestu ludzi. Prowadzić nas miał syn zawiadowcy stacji z Parczewa. Mnie i koledze Gadzała "Chmurze" dano pistolety maszynowe, gdyż mieliśmy za zadanie rozbroić Niemców, gdy ci będą znajdować się w budynku. Ja miałem wpaść przez jedne drzwi, kolega przez drugie. Reszta drużyny miała rozbroić wartownika i ubezpieczać. Tymczasem to wszystko inaczej wyszło. Gdyśmy wyskoczyli z żyta Niemcy jedli obiad przy długim stole,

w koszulach. Na nasz okrzyk: "Hende hoh!" zerwali się w wszyscy biegiem po broń. Strzelać nie mieliśmy rozkazu, tylko rozbroić. Ja, ponieważ miałem rozkaz wpaść drzwiami do mieszkania, pobiegłem do drzwi za jednym z nich. Już byłem w sieni, gdy Niemiec z karabinem był już przy mnie, ale ja byłem szybszy – pociągnąłem za spust i całą serię wpakowałem w niego. On zdążył podnieść karabin i w tej samej chwili całym ciężarem zwalił się na próg. Wtenczas rozpętało się istne piekło.

Strzelano ze wszystkich stron, kule tylko gwizdały. Oglądałem się gdzie nasi, a tu wszyscy już daleko ode mnie. Ja biegłem ostatni, i gdy już odbiegłem około piętnastu metrów zobaczyłem, że ktoś z naszych leży. Krzyknąłem: "Nie kryj się, tylko uciekaj!", bo myślałem, że on padł, żeby ochronić się przed kulami. Gdy podbiegłem zobaczyłem, że to nasz dowódca, a spod lewej jego łopatki krew tylko bryzga do góry. Krzyknąłem, by ktoś się wrócił. Nadbiegł "Jastrzębski". Obaj stwierdziliśmy śmierć dowódcy. Ja odpiąłem pas z pistoletem i zabrałem karabinek. Zapomniałem w tej gorączce zabrać portfel z pieniędzmi, które miał w tylnej kieszeni. Były to pieniądze narodowe, które na Polesiu

były rozdzielone pomiędzy oficerów po to, by całość nie wpadła w ręce niemieckie. Już po wyzwoleniu słyszałem, że Niemcy mówili, że zabili prawdziwego partyzanta, bo miał dużo złota.

I tak akcja ta, moim zdaniem, była całkiem nieudana, choć Niemcom narobiliśmy porządnego stracha i zamieszania. Kosztowało to życie tak młodego oficera, który był bardzo koleżeński i miły. Jeszcze kawał po wojnie przekręcano, że tę akcję wykonywał kto inny, lecz cóż możemy zrobić, gdy jedni ludzie cierpieli i ginęli, a inni zbierają laury.

Po tej akcji, drużyna odmaszerowała do miejsca postoju w Drozdówce, zaś mnie i kolegę "Chmurę" zostawiono jako pomoc podchorążemu, pseudonim "Sęp", w przeprowadzeniu rozpoznania na przedmieściu Parczewa, w Sowinie. Tam byliśmy do czasu, gdy Niemcy znowu szykowali okrążenie naszych jednostek w lasach Parczewskich. Wówczas dołączyliśmy do swego batalionu. Ostatnie dni szkolono wybranych chłopców bardzo intensywnie, celem, jak nam powiedziano, byśmy byli zalążkiem Armii Polskiej. W tym czasie ja zostałem odznaczony Krzyżem Walecznych.





MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA

Kpr. KLOC Jan

Ps: "Cichy"

(Oddział A.K.) jest uprawniony

do noszenia KRZYŻA WALECZNYCH

(z XXXXXXXX okuciem)

Londyn, dnia 30 grudnia 19 49.

Nadanie ogłoszono

w „Dzienniku Personalnym"

MIN. OBRONY NARODOWEJ

Nr 4 z dnia 11 1949.

(Podpis)

Gdy okrążenie się zacieśniało, dowództwo znowu szukało drogi wyjścia z tego pierścienia. Wtenczas też, pamiętam, przebijaliśmy się nocą gdzieś przez jakieś łąki i też kolejny jeden epizod utrwalił mi się w pamięci. Gdy zalegaliśmy na łące, a Niemcy strzelali z broni maszynowej, też pociskami oświetlającymi, i gdy chłopaki się kręcili i szukali gdzie by głowę skryć, jedna dziewczyna, sanitariuszka z naszego batalionu, śmiejąc się i postawiła paczkę z lekarstwami przed sobą. Mówiła, że wpierw muszą paczkę przestrzelić i dopiero ją zabić (takie były wspaniałe dziewczyny). Zdaje się, że miała pseudonim „Muszka" - my pod urokiem takich dziewczyn nabieraliśmy odwagi - wyrwaliśmy się z kolejnego okrążenia i pomaszerowaliśmy na zachód.

Po kilku dniach ruszyła ofensywa *Armii Radzieckiej*. Nasz batalion zajął, przed linią frontu, miasteczko Kamionkę i tu stacjonowaliśmy wraz z regularną Armią Radziecką w jak najlepszych stosunkach. Radowaliśmy się, że już ta nasza nieszczęsna dola się skończyła, że teraz pójdziemy bić wroga już jako regularna armia, która będzie miała zaplecze i szpitale. Te nadzieje jednak okazały się płonne, jak miało się wkrótce okazać.

Otóż, jak zaznaczyłem wcześniej, stosunki z żołnierzami radzieckimi mieliśmy bardzo dobre. Cały dzień zszedł nam na rozmowach. Nie widzieliśmy jednak dowódców. Pod wieczór przyszli i zarządzili zbiórkę. Wyprowadzono nas na szosę, która prowadziła w kierunku Lubartowa, i na tej szosie formowała się cała dywizja. Gdyśmy ruszyli, to aż się oczy śmiały, tak że śpiewaliśmy, a ja zauważyłem, że ludzie płakali z podziwu nad tym skąd się tyle żołnierzy wzięło. Byliśmy już bardzo dobrze uzbrojeni i umundurowani - wszystko zdobyte na nieprzyjacielu. Ileż to krwi kosztowało i ofiar. Gdy tak szliśmy ze śpiewem, po jakimś czasie czoło kolumny stanęło, a my stojąc śpiewaliśmy nadal. Niedługo potem od czoła podają, że dowódcy batalionów i kompanii mają się stawić na czoło. Reszta stała dalej i śpiewała beztrosko. Tę naszą beztroskę przerwały strzały z broni maszynowej, lecące nad naszymi głowami. Zmartwiliśmy się, co się dzieje? Po jakimś czasie przyszli dowódcy i powiedzieli, że musimy zdać broń, którą okupiliśmy tyloma ofiarami. I tak przechodziliśmy i przed jakimś budynkiem rzucaliśmy broń ze łzami w oczach. Broń przyjmowali radzieccy oficerowie. Po zdaniu broni zaprowadzono nas do jakiegoś lasku i tu

byliśmy całą noc i kawał dnia. Gdzieś około południa oficerowie uformowali nas i zarządzono odmarsz do Lublina, tam mieliśmy być wcieleni do Armii Polskiej.

Prowadzili nas tylko nasi oficerowie. Toteż po wyjściu, po dwóch kilometra od tego Skrobowa, gdzie nas rozbrojono, oficerowie powiedzieli nam, że polityka tak się ułożyła, że nie wiedzą co ich i nas czeka. Przysięgę więc rozwiązują i odtąd każdy niech postępuje według swego sumienia. Ja, ponieważ nie byłem jeszcze kompletnie wyleczony, udałem się w okolice Parczewa do znajomych, by się podleczyć i tam spotkałem syna zawiadowcy stacji z Parczewa, M. Witkowskiego, który mnie z kolegą „Godzałą" zaprosił do domu. Prosił, żeby zostać u niego dopóki on nie przyjdzie. Po kilku dniach przyjechał i przywiózł nam nominacje na plutonowych, bo byliśmy kapralami w naszej dywizji. My tej nominacji nie przyjęliśmy, oświadczając, że nie zasłużyliśmy na nią.

Po tej gościnie, będąc w niedziele w Parczewie, wstąpiłem do kościoła, by się pomodlić za łaski otrzymane od Boga i ocalenie z tylu niebezpieczeństw. Przy wyjściu z kościoła doskoczyła do mnie Milicja, bo byłem w mundurku i czapce polówce, gdyż nic innego

nie miałem i kazano mi się wylegitymować. Ja dokumentów nie miałem żadnych, gdyż z tej masakry w naszej wsi wyszedłem bez niczego, i mimo moich tłumaczeń zaprowadzono mnie do aresztu. Tu siedziałem w jakiejś celi całą noc, sam. Na drugi dzień przyprowadzono drugiego aresztowanego. Pod wieczór przyszedł jakiś zapity milicjant i wypytywał, za co siedzimy. Ja powiedziałem prawdę. Wtedy on wyciągnął pistolet i oddał kilka strzałów do mnie krzycząc: „Ty bandyto, przez ciebie zginęła moja rodzina!". Nie wiem, jakim cudem mnie nie trafił. Chyba tylko dlatego, że był pijany. Na odgłos strzałów wpadli co celi wartownicy i jakiś oficer. Okazało się, że tym oficerem był ten z naszej dywizji, który mnie poznał. Zapytał co ja tu robię. Gdy mu wytłumaczyłem, powiedział tamtym, że to nieporozumienie i zaraz mnie zwolnił, lecz ta zadra w sercu już mi pozostała, bo czyż myśmy się spodziewali, że gdy nadejdzie dzień wolności, zostaniemy nazwani „bandytami"? Za walkę za ojczyznę tak nam zapłacono?

Po tym wszystkim pojechałem w Poznańskie, i tak zakończyła się dla mnie II wojna światowa. Co było dalej, to już inny ciąg mojego życia.

Spisano w 1980r.





Ilustracje

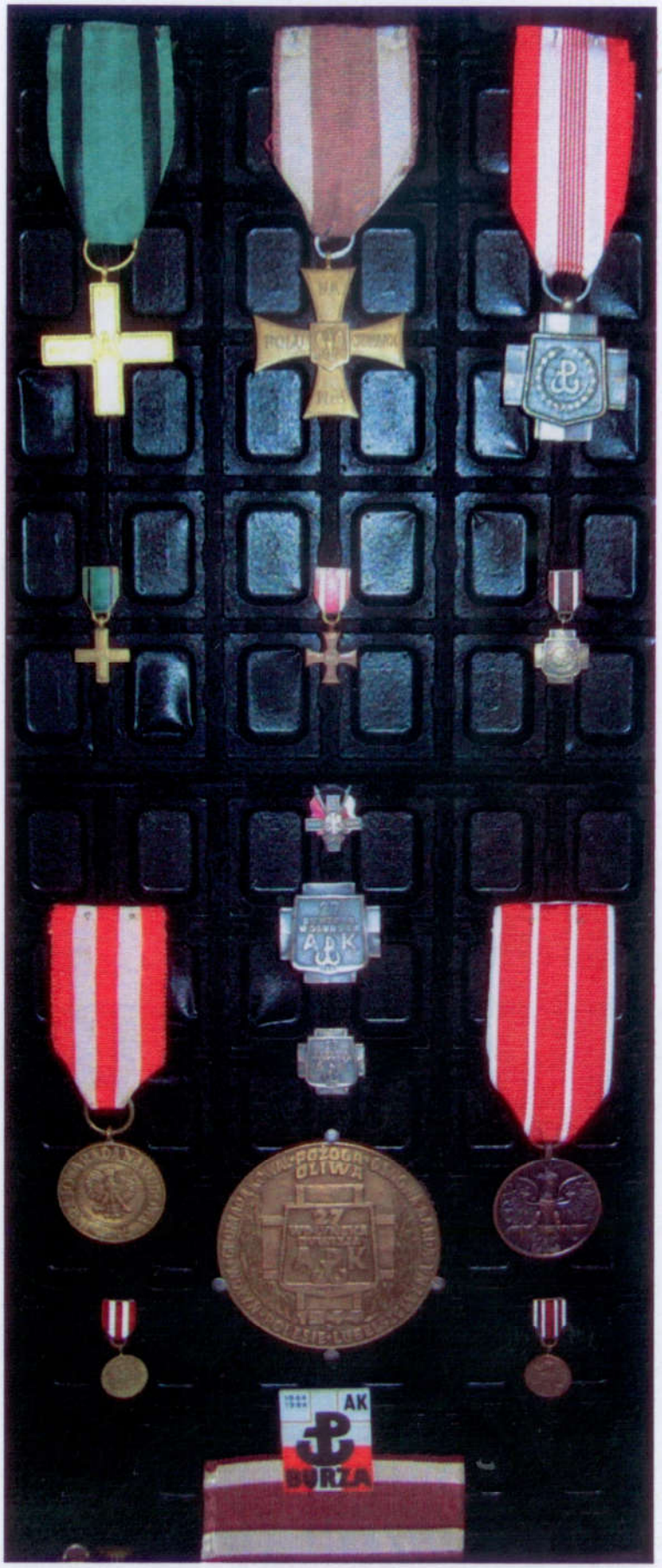
Materiały dodane przez autorów opracowania



Medal pamiątkowy 27 Wołyńskiej Dywizji AK



Krzyżyk wykonany z drzewa krzyża misyjnego z Ostrówek

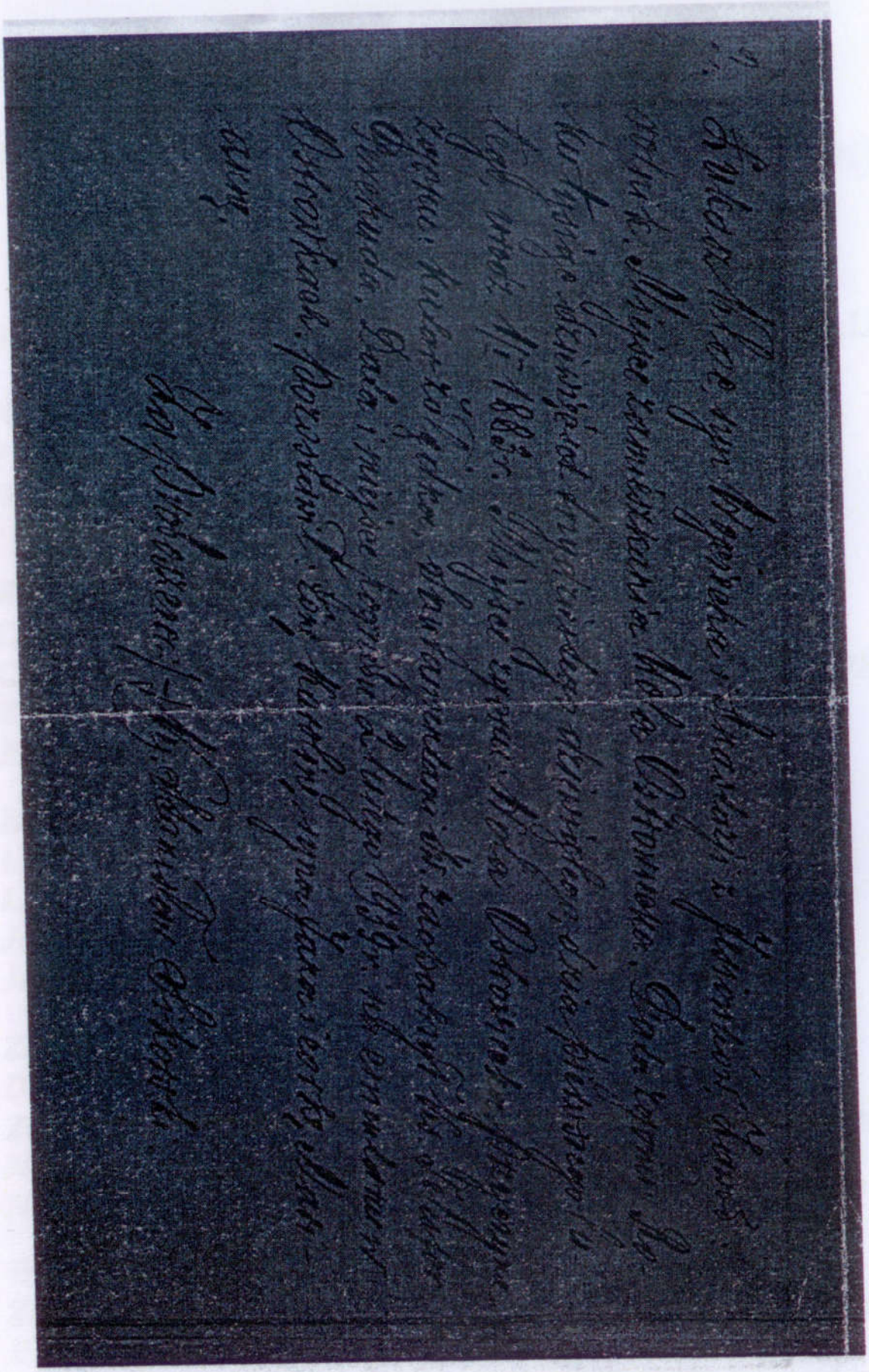


Kloc Jan - Odznaczenia



Legitymacje do odznaczeń i książeczka wojskowa





Akt zgonu Łukasza Kloca

Pieśń 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej

Słowa: „Żaba" Lech Żułkoś, „Kos" Aleksander Frostowicz, „Lis" Stanisław Narzymski, „Wrzos" Roman Kucharski
Na melodię: *Wesoła marynarska wiara*
Pieśń po raz pierwszy zaśpiewana podczas partyzanckiej Wieczornicy 31 grudnia 1943 r. w Kupiczowie k. Kowla

Wołynia ziem strzeżemy zbrojnie, o Polsce marząc wciąż,
Czy to za pługiem, czy na wojnie zwarci jak jeden mąż.
Chociaż krwią opływamy, szarpani ze wszech stron przez wrogów,
Z Polską na ustach życie oddamy, kiedy uderzy dzwon,
Z Polską na ustach życie oddamy, kiedy uderzy dzwon!

Bandyta Niemiec i Azjaci skazali nas na zgon,
Lecz nad Kresową Ziemię wzleci bojowej trąbki ton.
Lechitów dzielne plemię stanie wiernie na zew, do boju,
Jeszcze raz chwałą zadziwi ziemię i pomści bratnią krew,
Jeszcze raz chwałą zadziwi ziemię i pomści bratnią krew!

Zaszum nad nami Orle Biały, wróć z obcych krajów już,
Do Ciebie tęskni Naród cały, nękany mocą burz.
Zagrzmijcie polskie działa, przemówcie grady kul do wrogów,
Niech w piekło zejdzie obca nawała, w radość się zmieni ból,
Niech w piekło zejdzie obca nawała, w radość się zmieni ból!

W Afryce, Syrii czy w Londynie naszego wojska kwiat,
Zna krzywdy Wilna, Łucka, Gdyni, wie, kto nasz wróg, kto kat.
Wyznawcy wspólnej woli, pionierzy nowych dróg, wolności,
Już nie zaznamy nigdy niewoli, tak nam dopomóż Bóg!
Już nie zaznamy nigdy niewoli, tak nam dopomóż Bóg!



Tyle zostało ze wsi Wola Ostrowiecka



Miejsce w którym stały budynki Kloców



Ekshumacja w Woli Ostrowieckiej w1992r.



Ekshumowane szczątki ofiar zbrodni z Woli Ostrowieckiej i Ostrówek 1992r.



W tym miejscu były ekshumowane szczątki pomordowanych w Woli Ostrowieckiej 2008r.



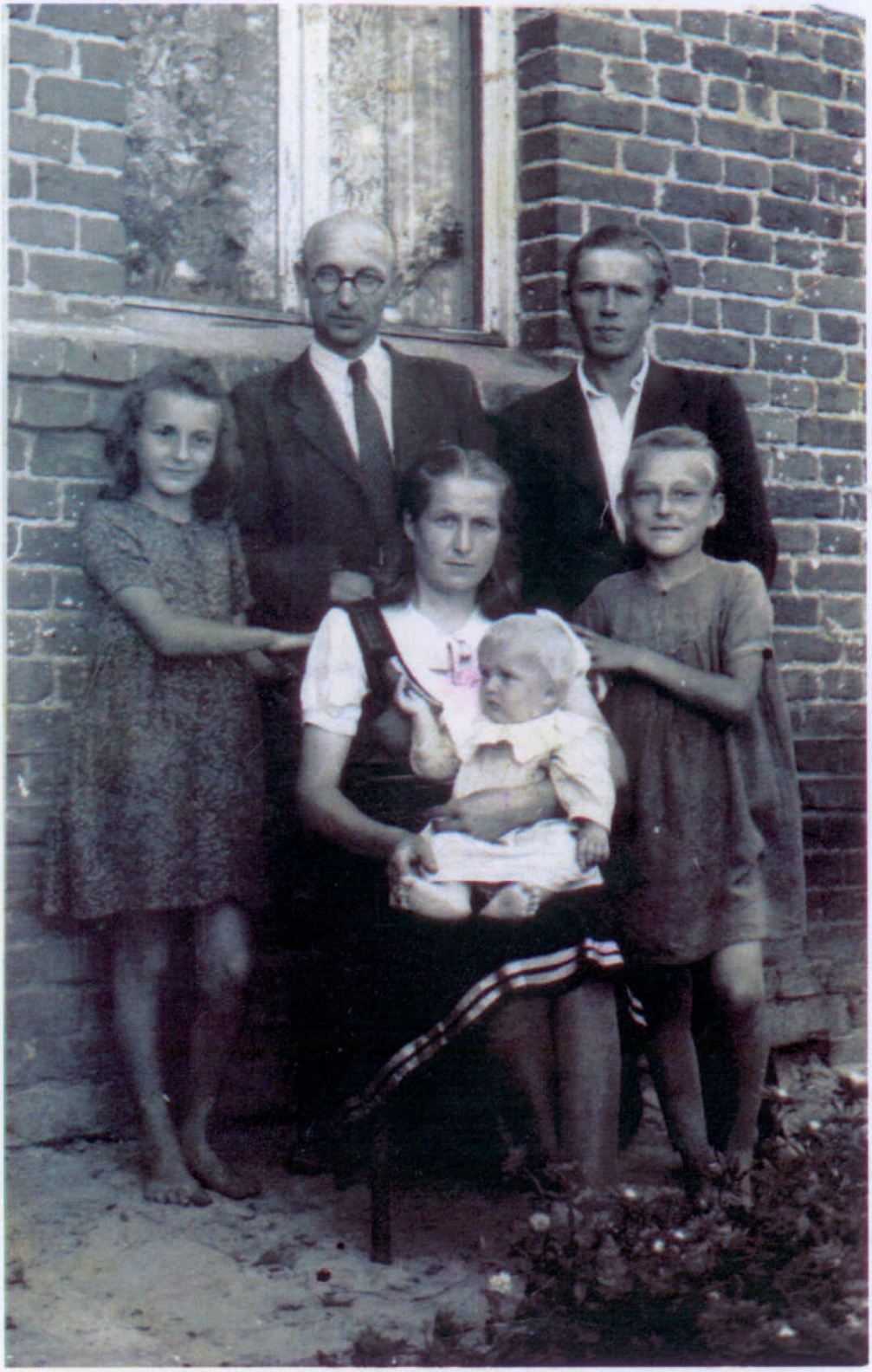
Miejsce spoczynku pomordowanych pod Sokołem 2008r.



Ekshumacja mogił pod Sokołem 2011r.



Ekshumowane szczątki ofiar zbrodni pod Sokołem 2011r.



Jan Kloc z rodziną i Józef Szwed z córkami 1947r.

Strona rodzinna, strona Kochana
Zbrodnią okryta, z zbrodnią związana
Tembardziej przez nas jest pamiętana.
Pamiętać o niej każe nam sumienie
To jest nakaz serca i ducha pragnienie
Bo ta Ziemia święta, krwią bratnią zbryzgana
Nie może być przez nas nigdy zapomniana
Przyjdą lata długie, czas naprzód popłynie
I Wołyń polskością ponownie zasłynie
Bo Polacy w sobie siłę taką czują
Że zbrodniarzom karę należną zgotują.

Brat Józef Szwed

Żelasków, dnia 24 VI 1982r.

Herb Wołynia



Ziemio Wołyńska, Ziemio ukochana!

Jesteś dla mnie taka jak Matka rodzona.

Chciałbym rzec o Tobie, co me serce czuje

Ale słabość moja słów tych nie znajduje.

Zbrodnia powiedziała zapomnieć o Tobie

Ale śnić o Tobie nawet będę w grobie.

1985r. JÓZEF SZWED

(ur. W Woli Ostrowieckiej w 1901r. ; zm. 1988r.)



Kościół parafialny w Ostrówkach
Malował Józef Szwed



Gospodarstwo Kloców w Woli Ostrowieckiej
Malował Józef Szwed



W tym miejscu stała szkoła w Woli Ostrowieckiej
Miejsce okrutnej zbrodni



Rodzina Kloców przy grobie dziadka i pradziadka
Łukasza Kloca



Figurka Matki Boskiej odnaleziona w miejscu spalonego kościoła w Ostrówkach



Elżbiet i Jan Kloc



Z autorami opracowania 1986r.

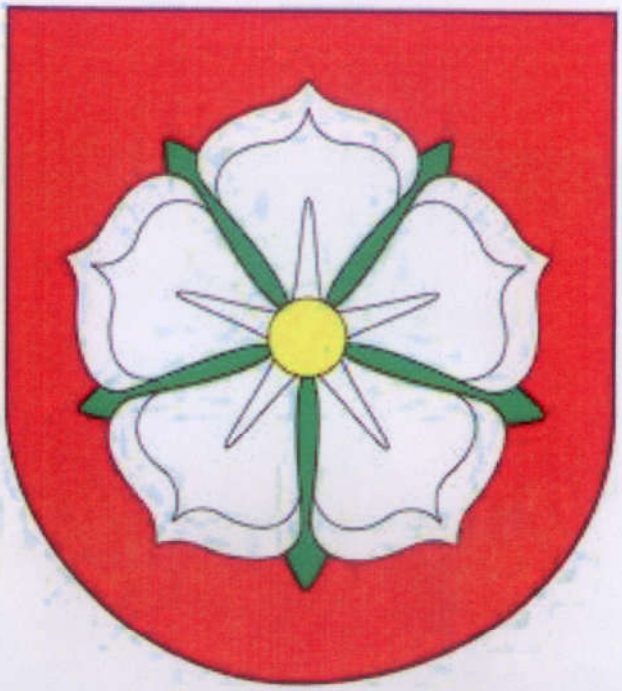


Ruda Huta



Sowin koło Parczewa - kwatera „Cichego" w 1944r.

Herb Zagórowa



1 października 1988 r. po krótkiej i ciężkiej chorobie, zakończył pracowite i ofiarne życie „Ku Chwale Ojczyzny", pojednany z Bogiem, odszedł zaciągnąć ostatnią wartę

S. † P.

JAN KLOC ps. „CICHY"

urodzony w 1922 r. w Woli Ostrowieckiej na Wołyniu.

Żołnierz 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, uczestnik walk z wrogiem w obronie życia i godności Polaków na Wołyniu. Na polu walki ciężko ranny. Za zasługi bojowe odznaczony został Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej i Medalem Wojska Polskiego oraz Krzyżem Partyzanckim.

W dniu 5 października 1988 r. w kościele parafialnym pw. Św. Św. Piotra i Pawła w Zagórowie przy udziale rodziny, licznie zgromadzonych parafian oraz towarzyszy broni, została odprawiona

MSZA ŚW.

za spokój Jego duszy, podczas której ks. kanonik dziekan dekanatu Zagórów Ryszard Maciejowski scharakteryzował drogę życia Zmarłego w służbie Bogu i Ojczyźnie.

Po Mszy św. odbyły się uroczystości pogrzebowe. Syn Ziemi Wołyńskiej spoczął w Ziemi Piastów — na miejscowym cmentarzu.

W imieniu żołnierzy 27. Wołyńskiej Dywizji AK pożegnał Zmarłego — towarzysz broni — Władysław Tołysz ps. „Grey" z batalionu kpt. „Korda".

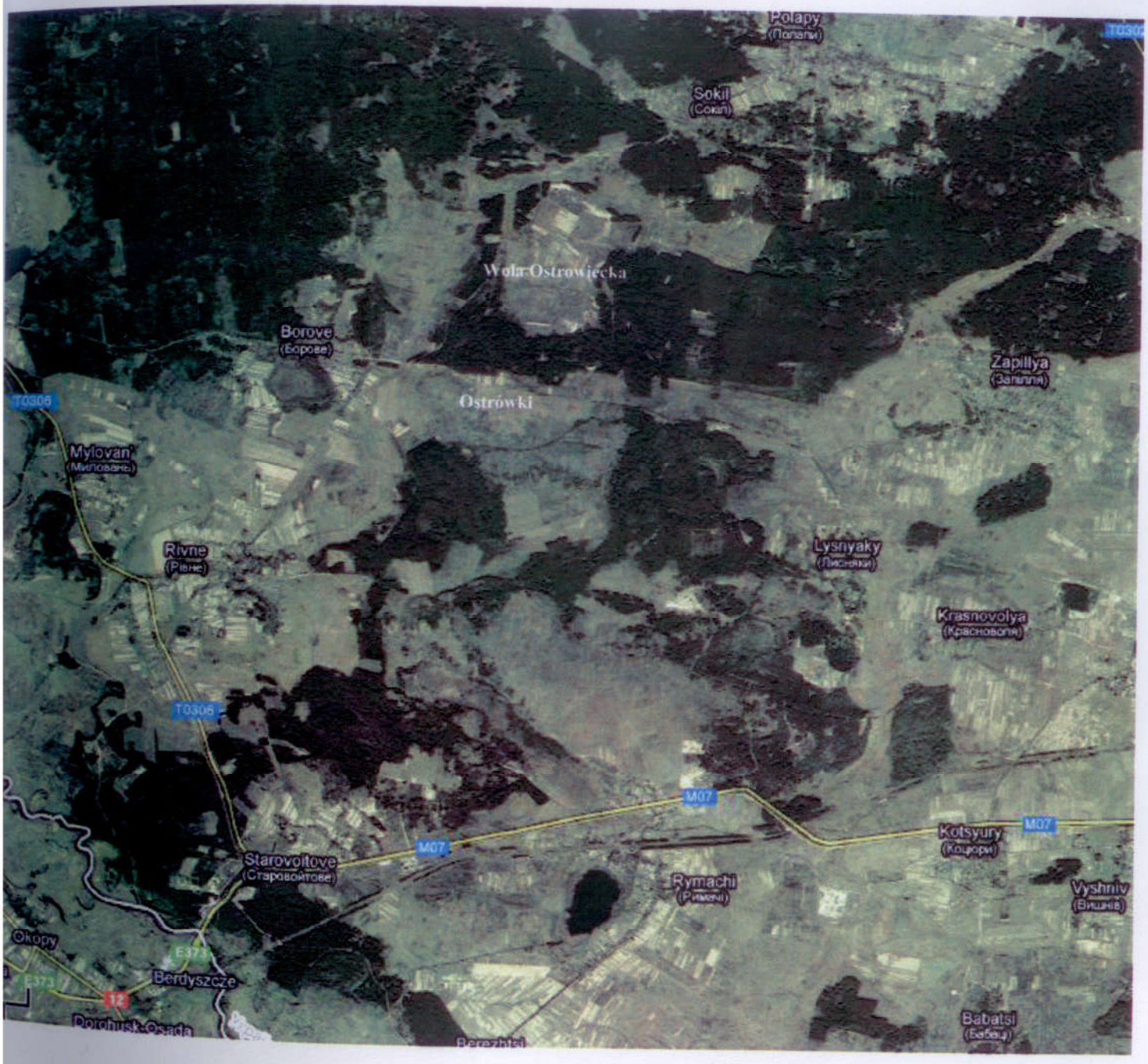
CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

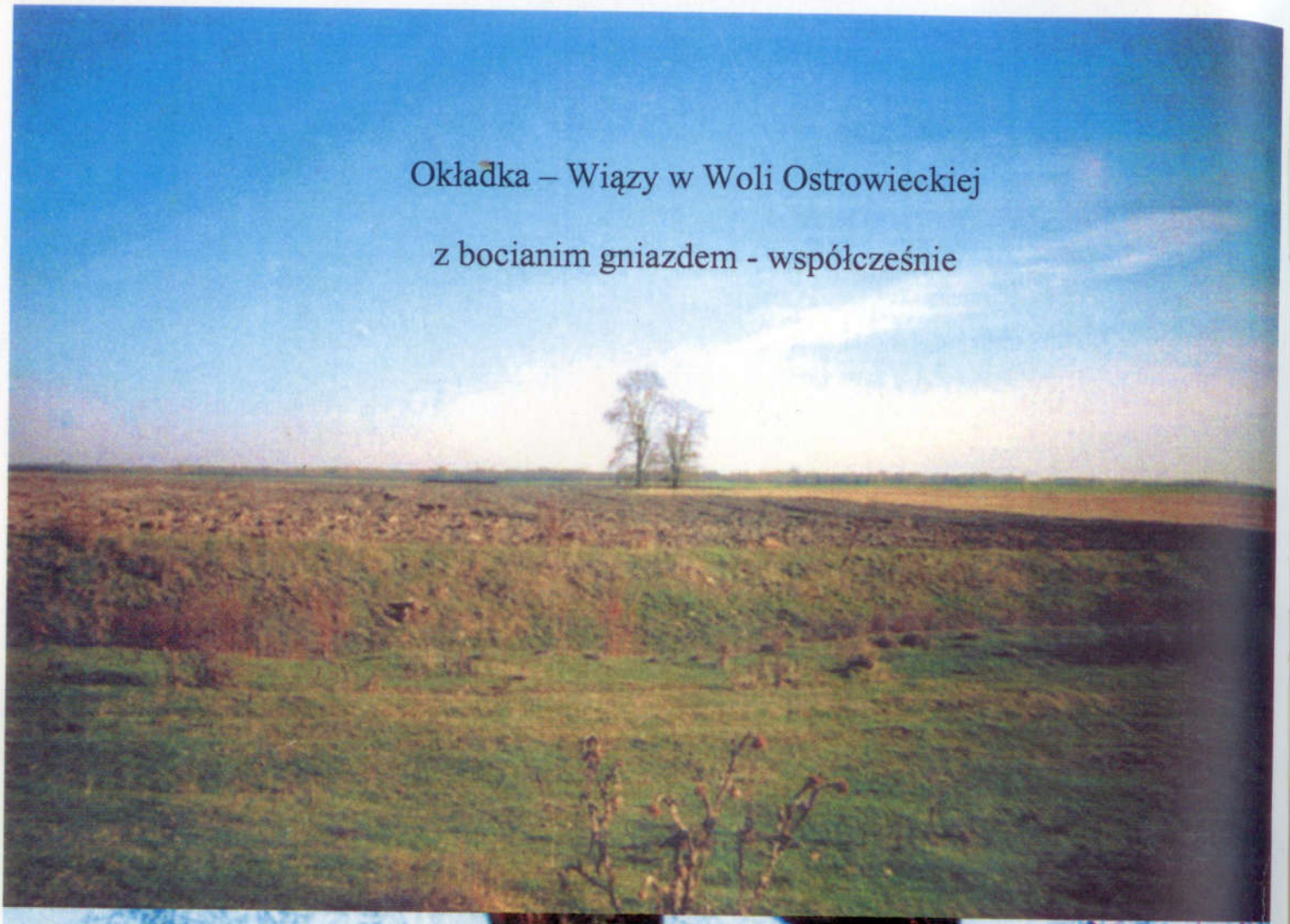
Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy głębokiego współczucia.

TOWARZYSZE BRONI



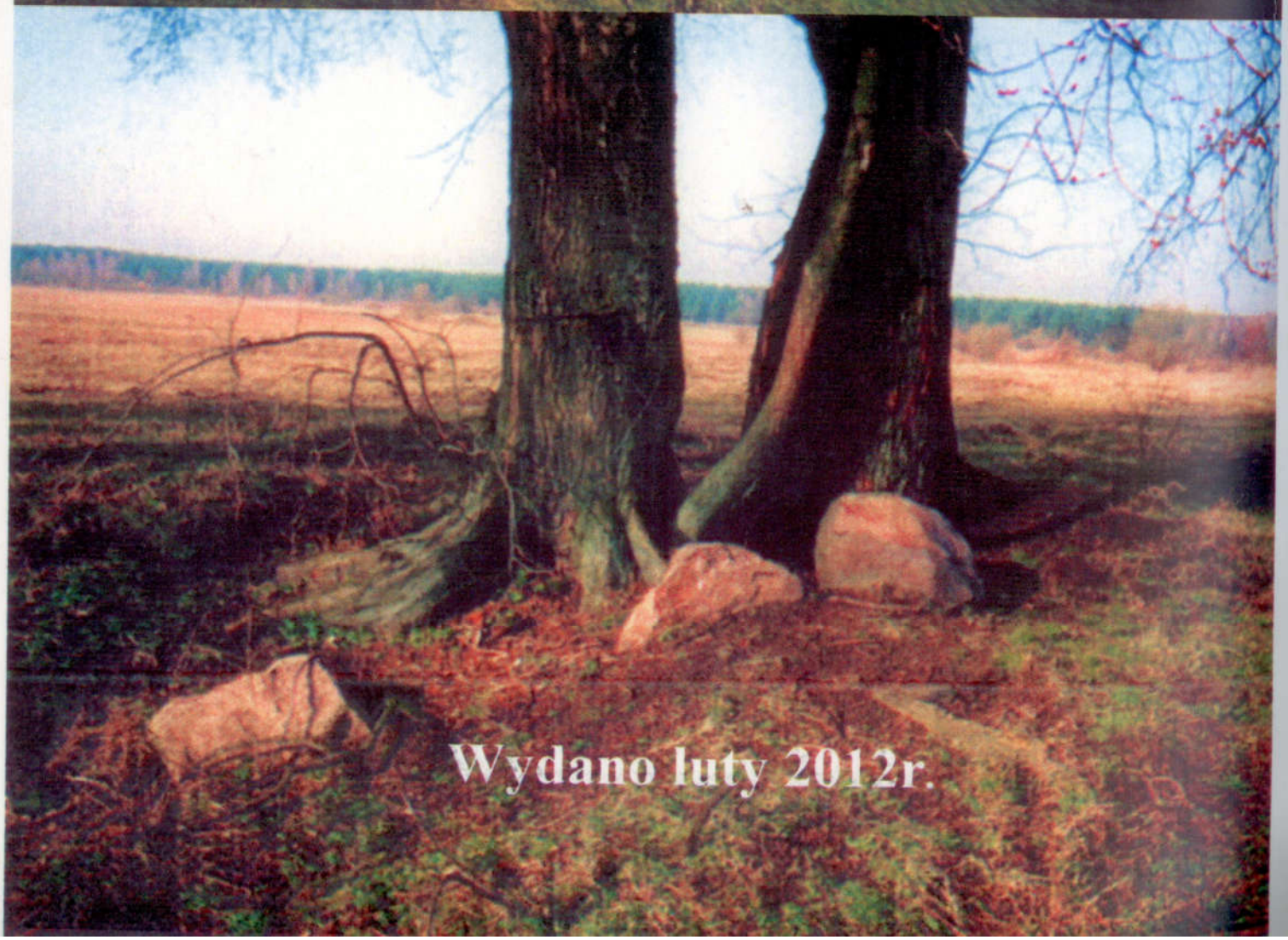
Grób Elżbiety i Jana Kloc na cmentarzu w Zagórowie


Polapy
(Полапи)
T0302
Sokil
(Сокіл)
Wola Ostrowiecka
Borove
(Борове)
Zapillya
(Запілля)
T0306
Ostrówki
Mylovan'
(Миловань)
Rivne
(Рівне)
Lysnyaky
(Лисняки)
Krasnovolya
(Красновоя)
T0305
M07
Kotsyury
(Коцюри)
Starovoitove
(Старовойтове)
Rymachi
(Римачі)
Vyshniv
(Вишнів)
Okopy
E373
Berdyszcze
12
Dorohusk-Osada
Babatsi
(Бабаці)
Berezhtsi



Okładka – Wiązy w Woli Ostrowieckiej

z bocianim gniazdem - współcześnie



Wydano luty 2012r.